

PION

CENA 50 GR

ROK VI NR 23 (244)

WARSZAWA

12 CZERWCA

1938 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

JAN EMIL SKIWSKI — POLSKA CONTRA POLSKOŚĆ
 FERDYNAND GOETEL — SŁOWO O PRZYMUSIE
 KONRAD WINKLER — LUCJAN ADWENTOWICZ I „PRYZMAT”
 IGNACY FIK — ZMARTWYCHWSTANIE
 ZOFIA KRZEMICKA — NOWA KSIĄŻKA O DZIEJACH ŚWIATA

CZESŁAW MIŁOSZ

NOWELA NAGRODZONA
NA KONKURSIE „PIONU”

O B R A C H U N K I

Ile razy sięgam do przeżyć dzieciństwa i pierwszej młodości, zawsze widzę że przestały one dla mnie istnieć jako wspomnienie, o którego dokładność mogłbym się naprawdę troszczyć. Wielu ludzi zachowuje dla swego dzieciństwa uczucie zbliżone do adopcji, nosząc w sobie niby kapięzkę poświęconą tajemnemu kultowi, gdzie leżą, owinięte w podziw i żal, pierwsze wzruszenia i pierwsze obrazy. Ale ja w imię tego nieskażonego świata buntowałem się przeciwko porządkowi życia tak mocno, że bunt obrócił się wstecz, potępiając przesadne wymagania; użyłem za pretekst walki z wszelką słabością i wypełniłem w sobie mgłę, jaka okrywa krajobrazy oglądane naiwnymi oczami. Ani zapach kwitnącej tarniny, ani rozmi. Ani długich podroży z taborami „bieżeńców”, nie pojawiają się już jako dane ostateczne, nie mające innego celu prócz własnej egzystencji. Teraz, jeżeli zaglądam do piwnicy, gdzie trzymam je uwiecznione, to tylko aby badać prawidła rządzące moim losem i dozukiwać się splatanych korzeni dobra i zła. Do tego tylko skłaniają mnie do odkrycia zasad wymy i upór w dążeniu do odkrycia zasad, nikają z łęku. Przywiązałem się do walki, pokochałem grę, w której wszystkie miny ma znaczenie doświadczeń, przydatnych dla dalszej obrony. Często jednak boleję nad słabością własnego życia: jest tak równość, tak powściągliwe, że można gościć się z nim — tylko wynajdując złożone powody takiego stanu rzeczy. Praca i odpoczynek pełen wysiłku, jak minuta przed następną rundą, kiedy bokser skupia całą wolę, aby rozluźnić mięśnie — to treść całych lat. Dlatego myślę że Kostuś wybaczyłby mi to co o nim piszę. Trudno, zaważył na moim przeznaczeniu, nadal mu kierunek, teraz musi się wypłacid w mojej pamięci; bo wątpię, prócz odbicia w mojej pamięci, czy ktokolwiek oprócz mnie o nim pamięta.

Zbyt szybko i pobieżnie przeszedł swoją drogę, aby można było przypuścić, że zostawił trwałe ślady, jakie umieją — zarówno w przylgach jak i w krzywdach — zostawić po sobie wytrwali i silni. Umiał budzić przywiązanie i przyczyniać zmartwień, nie tak mimo woli, tak lekceważąco, że trudno byłoby uwierzyć w powagę tego rodzaju uczuć i chyba wszyscy ulegali szybkiemu rozczarowaniu, nie mogąc w tym cieniu, którego pragnienia, plany, smutki gonili jedno za drugim w bezładzie i fantastycznej zmienności, dopatrzeć się jakiegokolwiek stałego punktu, jakiegokolwiek usprawiedliwienia dla miłości czy przyjaźni. Tylko swojej matce wypełnił całkowicie kilkadziesiąt lat rozterek i teraz są złączeni nierozdzielnie, nie-

możliwi do przywołania osobno: jeżeli rysuję teraz na tle okna jego chudą twarz z garbatym nosem, z wąskim czołem, jego lśniące czarne oczy i długie ręce z zakrzywionymi palcami, pełne gorączki i gestykulacji — natchniasz ukazując się obok płaczącej twarzy babci Dowkontowej, jej różowe policzki, które do ostatka zachowały zdrowy wyraz, ludzkie pozorną pogodą nieświadomych tragedii. Są przede mną tak obojętne — babcia Dowkontowa usiłuje przybrać obojętny wyraz, grzebiąc w kufrze, aby stamtąd wydobyć srebro przeznaczoną na zastaw w lombardzie, Kostuś przemawia do mnie, żartując aby ukryć niepokój, albo schyla się, całując ją w rękę, pocałunkiem w którym odgaduję fałsz. Dziś nawet wobec tych dwojga nie jestem swobodny; jakby te słowa pogardy i wstrętu do słabej, czulej do siebie zostały przede mną przed chwilą wymówione.

Początek mojej znajomości z Kostusiem był inny. W odgłos armat frontu, pomiędzy

agone luno w czasie ucieczek kołmi coraz dalej na wschód przed strasznym Niemcem wplatała się legenda Kostusia, który, na koniu, w czapce z czerwonym lampasem albo w papasze jak oficerowie kozacy, walczył wśród loskotu armat i trąb. Nigdy nie mówiono o nim „stryj Kostuś”, ani „stryjaszek Kostuś” — może dlatego, że starsi rozmawiali o nim tylko między sobą, nie zwracając się nigdy do mnie. Nie mogłem zrozumieć dlaczego moi rodzice ściszą wtedy głos, jakby w Kostusiu kryła się jakaś tajemnica, której nie powinny znać dzieci. Śledziłem ich uważnie i widziałem niechęć w skrzywieniu ust mojej matki, a w jej niecierpliwych gestach lekceważenie. Zdołałem wylać z urwanymi słowami, że o Kostusiu wyrażano się jak o dziecku. A przeciw Kostuś był dzielnym, dorosłym, skoro miał tytuł praporszczyka i może nawet skrzyżowane na piersiach taśmy z nabojami. Kiedy przyszła wiadomość, że Kostuś jest w szpitalu, kontuzjowany, szacunek mój dla niego

wzrósł jeszcze, bo stanowiło to dostateczny dowód, że brał udział w prawdziwej bitwie.

Potem na długo postać Kostusia zniknęła z moich zabaw i przestałem go sobie nawet wyobrażać. Samochody pancerne, aeroplany, których pojawiali się wtedy coraz więcej, usnęły ludzi. W latach coraz mniej miejsca zajmowały szeregi żołnierzy biegnących do ataku, zamiast nich rozposzyrali się na całych stronnicach motory, skrzydła, lufy pancerników; wzrosła tyle wspaniałych rzeczy działo się naokoło! Czerwony eszelon zamienił się w dom, w cudo prawdziwe, dom na kolach. Czasem ruszał nagle i wtedy przewracał się samowary, a kufty ustawione w końcu wagonu waliły się z hukiem. Około przesuwały się platformy odkryte brezentem i przez niedopięte krawędzie oglądano się z niego kola albo jaszczki. Cienka, długa lokomotywa z zielonym kominem wzbudziła zachwyt, jakiego nieczęsto później zdarzało się doświadczać. Niby ogromny pasikonik lawiowała na jakiejś stacji, a ruch jej tłoków na zawsze odtąd połączony jest dla mnie z wyobrażeniem każdego rytmu. Czasem mieszkałymi w miasteczkach po kilka tygodni i z nosem przypłaszczonym o szybę przyspoglądałem się ulicom, po których wlekli się robotnicy Kirgizi w ostrych czapczkach i długich chatach, dzwoniły wózy Czerwonego Krzyża i śmigły kolorowe automobile. Wreszcie przyjechaliśmy do miasta, gdzie czekała na nas babcia Dowkontowa i odtąd Kostuś znowu nabral znaczenia. W długie zimierzby żarzył się papierosy babki, całymi godzinami chodziła miarowym krokiem po pokojach, chowając twarz w ciemności. Kostuś został wzięty do niewoli. Czyżby więc rodzice mieli rację nie ceniąc Kostusia? Poddał się nieprzyjacielowi, pozwolił się rozbroić? Jak na obrachkach podnosił ręce, wyrzucając się z okopu, a Niemcy w pichelhaubach przykładali mu bagnet do piersi. Więc nie był męźny, śmiały, nieustraszony? Troszczono się o niego jak o kogoś, kto wymaga opieki, kto zginie, jeżeli nie dostanie na czas przesyłki z żywnością i ciepłą bielizną. Co drugi dzień chodziłem z babką po zakupy. W małe workiczki jednakowego rozmiaru sypało się potem kakao, cukier i ryż. W skrzynce na wierzchu układała babka wełniane koszule i szaliki, a z puszek pachniały suche ciastka, herbata i kawa; asystowałem tym chwilką pakowania, mając nadzieję że dostanę kawałek czekolady, ale babka wydzielala porcję dokładnie, a można się było pożywić tylko wtedy, gdy zapasy nie mieściły się w pudle i zostawały resztki zbyt skąpe, aby zachować je do następnej przesyłki. Zazdrościłem wtedy Kostusiu i tak z wojownika



CZESŁAW MIŁOSZ

przemieniał się powoli w pożeracza tych smacznych prowiantów, pachnącego czekoladą, kawą i lakiem drewnianych paczek obysztych w płótno.

Zobaczyłem go po raz pierwszy już po powrocie do domu na Litwie. Wyśiadł któregoś wiosennego, błotnistego ranka z wielkiej bryki i nie miał ze sobą nic — ani walizki ani nawet zainiaki. W podartym palcie cywilnym, w zatuszowanej czapce z wyrwanym bączkiem, wchodził na stopnie i całował się ze wszystkimi. Niósł ze sobą zapach podobny do zapachu prawie zapomnianych już miesięcy rewolucji i głodu. Policzyli mi się wspaniale i czarno zarole, nie przynosił żadnego daru ani pamiątki — rozziął tylko koszulę, pokazywał długą szramę na brzuchu od draszczenia granatem i jadł tylko, że domownicy gromadzili się dokola, pokajując sobie na wzajem jak pochłania kopiące talerze kaszy i blinów. Opowiadał o Anglikach i Belgach, z którymi siedział w obozie jeńców, o miniaturowej kolei, jaką w obozie zbudowali Francuzi, o tym jak pewien Irlandczyk uciekł zaszty w materac. Mówił o Polsce i od razu przyrzekł odnaleźć szablę dziadka Dowkonta. Przez kilka dni nudziłem go, przypominając o tej szabli, bo ciekaw byłem jak się do tego zabierze: szabla razem z pozostałą bronią leżała na dnie rzeki, wrzucono tam po sześćdziesiątym trzecim, kiedy dziadek Dowkont, wtedy młody chłopiec, krył się przed Rosjanami po postawianiu. Ale Kostus zapomniał zaraz o szabli, tłumaczył memu ojcu coś, co nieodkładnie mogłem zrozumieć, epał całe dnie i wyjeżdżał nocami, aż któregoś wieczora zniknął, a babka znowu zaczęła palić dużo papierosów i zamykać się w swoim pokoju. Dowiedziałem się, że Kostus pojechał do wojska polskiego i że będzie się bić z bolszewikami. Odtąd pojawianie się Kostusia nabrało cech stałości, odzywało się w moich przebiegach coraz głośniejszym, coraz bardziej upartym głosem, znacząc każdy etap powolnego dojrzewania moich pragnień. Kiedy tęskniłem do myśliwskiego noża, Kostus ukazał się w mundurze utana i długo wypytywał mnie, jak powinien wyglądać nóż, który chciałbym od niego dostać. Przez kilka nocy nie spałem, czekając na jego późne powroty do domu: mieszkaliśmy wtedy już w mieście i każda nieobecność mogła kryć przecie kupno podarunku. Wracal nam ranem, zwykle pijany, i rozbił się nieprzytomnymi ruchami, zasypiając natchnieszko skoro dotykał poduszki. Udawałem że śpię i starałem się równo oddychać, chociaż lzy gniewu zalepiały mi powieki. Nazajutrz przeciągał się w łóżku paląc papierosa za papierosem, ale nie wspominał ani słowem o swojej obietnicy. Wyjechał, a szaryk kupił babka Dowkontowa, powiedział: „to od Kostusia”, ale ja nie dałem się zwieść i doskonale rozumiałem, że kupił go z własnych pieniędzy. Atlas geograficzny ty nawiedzał mnie przez długie kwartały pierwszej gimnazjalnej — Kostus przyjechał jako piękny cywilny pan i przyrzekł że zaraz pójdziemy do księgarni, jeżeli zechcę zrobić mu przegląd na dworcu odbędzie się uroczyste powitanie słynnego generała i potrzeba małego chłopca, który by mu wręczył bukiet kwiatów. Uczyłem się przemówienia z kartki napisanej przez Kostusia — pamiętam że było tam o krwi bohaterów, o ojeździe, o zmartwychwstaniu. Wręczyłem bukiet, wojskowi i inni panowie bili brawo, wykrzesali jednym tchem treść kartki, general mnie uścisnął. Wtedy zszedłem po uroczystości bardziej niż przed nią i tego wieczora wtulałem się w poduszkę z żalem i upokorzeniem, nie pojmując dlaczego odczuwam taką nienawiść. O atlasie już nigdy nie było mowy.

Każdy przyjazd Kostusia zmieniał zupełnie normalny tryb życia naszej rodziny i doprowadzał do zaburzeń, które często wyładowywały się na mnie. Ojciec biał pięć w stół z lada jakiego powodu, matka chodziła z rozrządzeniem, nie patrząc na nikogo, babka Dowkontowa na przemiany to przybierała ton błagalny, to znowu wyrażała każdym słowem niezadowolone, ale jej złościwości nigdy nie trafiały w cel, zawsze gasły wśród kwaśnej litości otoczenia, jak każdy bezsilny, nieudolny hunt. Co do Kostusia, to bywał w tych wypadkach bardzo serdeczny, łagodny, przyjacielski; trudno było uwierzyć, że tyle koleżeństwa, tyle szerokiej uśmiechniętych, zamysłonych spojrzeń w nim mieściła. A kiedy zaczynał tłumaczyć, w jaki sposób zarobi wielkie pieniądze, wszystko stawało się jasne i tak prawdziwe, tak rozumne, że ktokolwiek to słyszał musiał zgodzić się z jego wywodami. Łowilem rozbiegany polsk oczu: czy to w nich skupało się piętno zwyrodnienia, czy Kostus często wykrykiwała moja matka? Czy może w wąskiej, czarniawej twarzy, tak niepodobnej do żadnego rodzinnego portretu? Ach, byłem wtedy tak chciwy przeczek! Opowiadał o znakomitych przedkach czeplając się tak uparcie! W szkole

bił rżnie wszyscy, byłem stale najslabszy w klasie, na korytarzu w czasie pauzy usiłowalem brać udział w bijatykach, ale odychalem lekceważenia. Pod jego wpływem ruchy mojej traciły do reszty celność, biegłem na zakręt schodów ścigany ich pogardą, ich złością za puszczenie zabawy, w której oni wszyscy poruszyli się pewnie i odważnie, odgadując co trzeba krzyknąć, gdzie uderzyć samym podszeptem instynktu. Cóż z tego że stawiano mi dobre stopnie, jeżeli w spojrzeniach nauczycieli mogłem odnaleźć tę litosc i zrozumienie, jakie dorosli miewają dla dzieci zdolnych i wziętych? Nie żądałem litosci. Modliłem się, modliłem się naprawdę, błagając Boga o siłę, tylko o siłę. Może On zdołałby sprawić, że któregoś dnia jako pierwszy wdrapię się na sznur z węzłami w sali gimnastycznej, że jednym uderzeniem pięści powalę najslabszego draba w szkole? Nawiedzały mnie wizje władzy, samotnej jak moja samotność wśród rówieśników, okrutnej, zupełnej. Od mego skinięcia zależał los tych, którzy teraz mną poniewierali, królówalem w pustce, a oni kłębili się nisko liżąc moje stopy. Dziś spotykam ich w tramwaju, na ulicy, w kawiarń. Są spokojni i jednostajni, berła zabijaków, prowodyrów zabaw wyśliznęły im się z rąk, twardość rysów nieublaganych dreźniceli słabych stopniała wśród doznanych niepowodzeń. Wyprzedzili ich, wydarłem życiu więcej władztwa, patrz na mnie może z zazdrością, ale gdyby widzieli jaką za to zapłaciłem cenę! Jakże chętnie oddałbym to panowanie nad ludźmi i nad pieniędzmi, przemysłne, czujne trwanie, za jeden rok triumfów dwunastoletniego sportowca, za laur pierwszeństwa w boju, za radość życia, które nie mądrości nie zawdzięcza, gdzie wszystko jest darem tak niezasłużonym, jak wiosna i miłość! Nauczyłem się zwyciężać, narzucałem sobie w ciągu całych lat ćwiczenia i próby, a obszar pragnień rósł, rósł, aż poznałem, że nie ma nasycenia, że nie ma granic lęku.

A Kostus był pierwszym moim przewodnikiem, nieświadomym inicjatorem w tajemnicę dyscypliny. Nie wolno mu było ufać, świat wymykał mu się, omijał go z daleka i pierwszy gorzki smak gorowania nad innym człowiekiem przeżyłem wtedy, gdy przyniknąłem kruchości i chwężności tego charakteru, kiedy potrafiłem jego szybkim i bezładnym gestem przeciwstawić uśmiechek ironii. Odgadłem że Kostus jest słaby, słaby nie tylko wola i ciałem. Od jego słabości ślad prowadził mnie coraz więcej ku mitykalnym do niedawna posagom, które obchodziliem nabożnie, z szacunkiem i pokorą. Rozwarła się pierwsza szeszerba w murze otaczających przedmiotów i osób. Przez chłód, przez uważne, skryte przyglądanie się ludziom można było odtąd trafić w miejsca bezbronne, kierować zadając nieostrzeżalne ukłucia, zagrażać samą wiedzą i porozumieniem współny.

Jechałem kiedyś z Kostusiem koleją, Kostus służył wtedy w policji i w granatowym mundurze wyglądał drapieżnie, uroczyste. Rozmawiał całą drogę ze swoim znajomym, oficerem lotnictwa, a ja przeżuwałem ich aforyzmy o pieniądzu, o kobietach, o całym groźnym mechanizmie posażających dorosłych. W pewnej chwili oficer wstał i przecignął się ziewając szeroko, chwycił za pręty siatek na bagaże i zdźwiął się powoli aż pod sufit. I jeszcze raz, i jeszcze — powtarzał tak przez kilka minut trudne ćwiczenie. Z podziwem i zazdrością towarzyszyłem jego wysiłkom; teraz oczekiwałem od Kostusia wystąpienia do turnieju, magnetyzowałem go uparcie wlepionym wzrokiem. Ale Kostus siedział zamysłony, udając że nie go to nie obchodzi: a na pewno, na pewno czuł że tak nie potrafi, że jest w porównaniu z tym tegim, żyłastym mężczyzną chuderlawy i śmieszny. Czy Kostus był zwyrodniały? Wyciągałem od matki, słowko po słowku, szczegóły dotyczące jego historii. Kiedy urodził się Kostus, dziadek Dowkont był już stary i umarł, przebiegłszy się na polowaniu, w parę lat potem. Kostusia wychowała babka Dowkontowa, ale nie umiała sobie z nim poradzić, umiała tylko rozpaczkać, kiedy Kostus wylał się spod jej opieki. Zanadto go kochała, taka była powszechna opinia. Kostusia wyrzucili z piątej klasy gimnazjum za brak postępów w naukach.

Ale nie, Kostus nie wyróżzył się tak bardzo, ta sama krew, przeciwko której buntowała się oglądając siebie w lustrze, uformowała jego wąskie plecy, zapadła klatkę piersiową, i różnicę po dłuższym oglądaniu były już tylko spotęgowaniem i wykryciem podobieństw. Więc nieczego już nie mogłem oczekiwać od tych zmian, szepczących że należą do rodu, więc żadna potęga nie czaiła się w przekazywanych z pokolenia na pokolenie sposobach pochylania głowy, marszczenia brwi, więc żadne zasztyne dziedzictwo nie miało na mnie

splynać? Nawet własnego ojca, surowego, poważnego ojca obnażalem, sprawdzając czy zasłużył na przypisywane mu dostojęstwo. Chodziliśmy często razem do laźni. Tam, w kłębach pary, na drewnianych półkach pachnących dusznym zapachem rozpranych brzożowych liści roili się nadsy mężczyźni, jak ludzkość dopiero co stworzona. Kapelusze, krawaty, marynarki — cały rymstunek bojowy opadał z nich i wchodził do gorących izz że szczytnym niskim sufitem zupełnie rozbrojono. Tam, porównując z ich budową ciało mojego ojca, zapisywałem w pamięci wszelkie braki, sprawdzałem w wzorem na którym nauczyłem się pogardy. Błady i szczupły, z rzadkim rudym wąsem, miał tę samą barwę ciała co Kostus, tę samą delikatność skóry, miękkiej, gąbczastej, obwisłaję. Kanciaste ramiona i nogi jak szcedła, bez lydek, łączyły ich w jedno, mimo klótni i sporów, wzelem mocniejszym niż łączy zgodność usposobień. Ale i w usposobieniach nierozrwalna tkanka rozpościerała się między nimi. W drobnych szczegółach domowego porządku zacząłem czatować na wybuchy ojca, na napaady smutku, zniecierpliwienia, melancholii. Każdy bład witelem skwapliwie, w każdym jego niepokoju łęgała się dla mnie myśl o porażce. Aż podałem w wątpliwosc jego pracę zawodową i wydawało mi się że ludzie ufają mu tylko przez naiwnosc, że są oszukiwani jego szacownym pozorem. Tak, w bolesnym i przewrotnym niezuczeniu tego co najbardziej cenilem, co wystarczało mi do niedawna jako tarcza przeciwko krzywdzie, wyrastałem z lat dziecinnych, nie przeczuwając że zakreślałem dokola siebie magiczne kolo, z którego nie znajduję później wyjścia.

Babka Dowkontowa bała się mnie. Jej male niebieskie oczka przeprowadzały mnie z niepokojem, starała się kryć przede mną swoje rozmowy z Kostusiem, ale ja byłem przenikliwy, uparty w przesładowaniach i wszędzie, gdziekolwiek się obróciła, napotykała moje wdzięczne wstrętem i ironią usta, moje uwagi, rady i ostrzeżenia. Chorowała wtedy już ciężko, ale im łatwiej dawało się doprowadzać ją do placu, tym silniej nawiedzały mnie pokusy i pastwilem się nad nią, przeżywając upojenia podobne do tych, jakich kosztowałem kiedyś, wyobrażając sobie że jestem pierwszym chrześcijaninem i że rozszarpują mnie lwy. „Kostus skończy w więzieniu” — szeptałem z zacietoczeniem. „Lepiej żeby Kostus poszedł do więzienia, będzie mi przynajmniej coś jeść”. Babka Dowkontowa robiła się wtedy czerwona i ręce jej się trzęsły. „Wiem, że Kostus sfalszował weksle tatusia” — wolałem wychodząc z pokoju, albo coś w tym rodzaju, co by kończyło rozmowę dostatecznie mocnym akcentem. Przez uchylone drzwi widziałem jak siedzi w fotelu mala, okrągła i przykłada chustkę do twarzy, odmawiając modlitwy głośnie, prawie z krzykiem.

Dziś już to wszystko wydaje się tak

SŁUCHOWISKO O EDISONIE

Próba zamknięcia w kształt słuchowiska życia wielkiego uczzonego jest niewątpliwie przedsięwzięciem bardzo śmiałym. Udramatyzowanie wydarzeń naukowych, skondensowanie akcji, toczące się na najrozmaitszych terenach przez lat z górą kilkadziesiąt — to zadanie niełatwe. Przyszła też trzeba, że autor z dużą zręcznością zdołał udratunytować i zmoutować ze sobą poszczególne epizody życia Edisona, tworząc z nich całość radiową, która można — zapożyczając słów, wypowiedzianych niedługo przed samym Edisonem — określić jako „misterium trzeciego empiryzmu”.

Mimo to Edison posiada liczne niedociągnięcia, sprawiające że słucha się go z pewnym wysiłkiem. Pierwsze z nich — to zbytnia fragmentaryczność niektórych epizodów (zwłaszcza w części pierwszej słuchowiska), ich nieomal filmowa migawkowość, która przeciętnemu słuchaczowi na pewno nastroczała trochę trudności w polapaniu się o co chodzi — tym więcej, że w słuchowisku występuje bardzo dużo osób. Być może, że wskutek specyficznych właściwości samego twórcywa literackiego, jakim w danym wypadku był zyciorys Edisona, obfitujący w niezliczoną ilość różnorodnych eksperymentów naukowych — fragmentaryczności tej nie można było uniknąć; niemniej jednak trudno zaliczyć ją do plusów słuchowiska.

Druga rzecz, o którą można by mieć pretensję do autora — to, że nie pokusił się o niebezpieczne skreślenie sylwetki duchowej uczzonego, a pokazał go nam jedynie poprzez relacje „osób trzecich”: konferenciera i drugoplanowych postaci słuchowiska. Sam Edison wypowiedział podczas całego słuchowiska zaledwie kilka zdań, a wszelkie rozmowy z nim miały charakter niemal monologów, co chwilał by-

dawne, że niemal nierzeczywiste. Teraz może tylko załudniać puste krzesła, prowadzić rozmowy, w których sam zadaje pytania i udziela odpowiedzi. I tak jest lepiej, bo cienie są posłuszne i nawet czasem pozwalają mi na łagodną radość, na rozkliwienie nad czulością mego serca, któremu ziemia wyświadczyła tylko okrutne przysięgi, ucząc je hartu i oddalając od pobłażania. Siedzą tak wieczorami w kącie i stwarzam takie tęczory minęli i daję im tkliwość, jakiej nie umiałbym dać gdyby pojawili się tutaj żywi. Chwilami zdaje mi się, że powracam zupełnie niewiny i że ktoś, kto by wiedział o ludzkich sprawach więcej niż wolno wiedzieć bezkarnie, usprawiedliwiłby mnie na Sądzie i postawiłby po prawicy, w tłumie sprawiedliwych. Jak kiedyś ja sam obdzierałem z masek, z przybrań w piórpusze, tak samo on otwierałby wnętrze wielu moich, wróżąc jak kapłan poganiński z jeli! — ale zamiast nadziei odkrycia tchórzostwa i słabości miałby nadzieję odślonięcia głodu prawdy. Każdy w jego rękach byłby jak Kostus tego popołudnia, kiedy odwiedziłem go po raz ostatni, na kilka dni przed śmiercią.

Szpital chorób zakaźnych stał w rzadkim sosnowym lesie, między chorowitymi drzewami co wyginały się dziwnie, a krakami me stad gawronich w wiosennym powietrzu podobne było do głosu wielkiej tęsknoty albo smutku — nie wiedziałem dokładnie. I rzeka szeroka, rozlana przeświecała przed sobą nie dościsłałem go, podaliśmy tylko sobie ręce. Nie podosiłem głowy, miałem przed sobą kostki jego nog w białych kaloszonach zawiązanych tasiemką, wystające spod szarego chłata. Triumf mój był zupełny, wiosna wywoływała mnie, przygotowywała się do przyjęcia mnie z powrotem, rozważała wiosna osiemnastoletniego prymusa, chłuby rodziców i nauczycieli. Układkiem zerkałem na palec Kostusia, cienkie, żółte i pomarszczone, potem na szyję z wystającą grydką. Krótko zatrzymałem się na jego twarzy. Wtedy tworga uderzyła na mnie nagle. Z oczu Kostusia nie błyskała już gorączka. Lekki, dobrułiwy humor zwał jego żrenice i w tym świetle nowym, nieznanym to co mówił nabierało znaczenia słów rzucanych laskawie, od niechęcia, przez kogoś kto zna się do rozmowy o blaskach. Nie wspominał wcale o chorobie. Ale przy którymś zdaniu, kiedy napomknąłem o bliskim lecie, poruszył ramieniem pozornie bez związku, a ruch ten wyrażał jakby kpiarstwo.

CZESŁAW MIŁOŻ

lo nawet dość denerwujące. Spodziewaliśmy się po radiowym Edisonie więcej pasji twórczej, więcej natchnionej fantazji genialnego wynalazcy, który przecież „nadał piątemu epoce” — pokazano nam jedynie dość jednostronny obraz genialnego a zarazen naiwnego uparciucha, fabrykującego — zrazu dla własnej satysfakcji, a potem na zamówienie — wynalazek za wynalazkiem. Wprawdzie konferencier usiłowal nas przekonac, że Edison zawsze i wszędzie miał na myśli przede wszystkim dobro ludzkości, niemniej jednak nie wadziliśmy choć raz usłyszeć to z jego własnych ust — siła dramatyczna słuchowiska na pewno by na tym zyskała.

Niewątpliwym plusem słuchowiska jest za to realizm w traktowaniu licznych postaci drugoplanowych, jak nauczyciel, doktor, Mr. Gordon, lady Gladstone, Ford i inni. Charaktery te, skreślone kilkoma poiągacjami, z lekkim zacietoczeniem satyrycznym, są dobrze zindywidualizowane i wiarogodne. Dobrze również oddane zostało to rodzajowe epoki — owego wzruszającego a zarazen zabawnego z perspektywy czasowej okresu, który to rozdziła się zarówka i fonograf, a „niebezpieczny” tramwaj elektryczny walczył z tramwajem konnym. Szczególnie udatnie wypadła scena pierwszej rozmowy telefonicznej, przeprowadzonej w Wielkiej Brytanii. Tego samego nie da się jednak powiedzieć o rozmowie Zukora i Foxa, nazbyt przypominającej „kalki” lwoskiej pary: Untenbaum i Aprikozenkranca.

Aktorów w słuchowisku brało udział bardzo wielu, na ogół jednak role ich były tak króciutkie, że nikomu nie udało się specjalnie zaślęgnąć. W pamięci słuchacza pozostanie chyba jedynie zabawna lady Gladstone i mister Gordon. (H. L.)

SŁOWO O PRZYMUSIE

Mówić dziś o przymusie, to tyle co mówić o faszyzmie czy totalizmie. I chociaż usługi faszyzmu nie są w tej dziedzinie bynajmniej... wyłączone ani nawet najwybitniejsze — to jednak rzecznicy liberalizmu potrafili uczynić z obu tych pojęć niemal synonim. Arsenal argumentów używanych w tym wypadku jest tak liczny, że nawet bezstronny obywatel, siłując się na swój własny sąd, nie ma odwagi oponować przeciw powiększeniu hałasu. Mało tego: w ogóle obawia się poruszać kwestii faszyzmu nawet i na tych płaszczyznach, które nie mają nic wspólnego z gwałtem. Bo jeśli tam się bąknie coś, że może jednak... ten faszyzm czy totalizm organizuje ludzi do wielkich dzieł, że przecież wznosi jakieś drogi, jakieś miasta... że należy skutecznie i nadal przeciwstawiać się kapitalizmowi... otrzyma natychmiast pałą w łeb: aha! to pan jest za poniżeniem człowieka! Jeżeli komuś przyniś się pomoc zimowa... *Kraft durch Freude* — kultura nasza usłyszy zaraz: rozumiemy!... jest pan wielbielcem strychulca! W rezultacie Polak tuli urazy do siebie. Nie chce piętnować taniej i beztrojskiej wygody, uzyskanej przez polemistów antyfaszystowskich drogą zahukania opinii obrazami zbeszczeszczonych człowieczeństwa. Stanowisko takie jest bowiem wygodne i dla strony przeciwniczej. Właśnie mam ochotę z niego skorzystać.

Wprzód krótki rys historyczny pewnych szczególnych fak, jakie przechodziła polemika liberalistów przeciw faszyzmowi. Narodziny Włoch Mussoliniego i Niemiec Hitlera powitano wyciem pogardy i parkaniem sarkazmu. Pochód na Rzym był ogłoszony za komedie (widocznie że nie krwawy), przewrót w Berlinie — za awanturę (ponieważ bez barykad i bez bojów ulicznych). Rewolucje bez morza krwi, bez okrucieństw i egzekucji nie zasługiwały w oczach humanitarystów na respekt właściwy. Przewroty bez obróconych w niwecz warsztatów pracy i bez rzędów szubienic, na których wiśli obywatele, bez sparaliżowania całej maszyny gospodarczej i społecznej nie budziły zaufania. Ustroje faszystowskie ogłoszono za efemerydy, Mussoliniego napiętnowano jako pozera i demagoga, Hitlera — jako zaleńca. Narody, które im zaufały oczekiwały pono nieuchronna i rychła zagłada.

Ten ton pierwszych polemik z faszyzmem mamy jeszcze w pamięci. Pomimo całej namiętności, jaką już wówczas posiadał, przecież możemy go nazwać rzeczowym: bezkrwawe przewroty rzeczywiście nie przypominały demokratycznych rewolucji. Apel do ludu nie poparty klasowym stanowiskiem mógł się wydać podejrzany. Suma emocjonalności, stosowana przez wodzów faszyzmu w sprawach politycznych, urągała materialistycznemu pojmowaniu dziejów. A tu jeszcze dochodziła kalkulacja, która udawadniała z olświekiem w ręku, że puste skarbcie nowo powstałych państw nie wytrzymają prób najbliższych miesięcy. A tu musiano zapytać, skąd wzięły się pieniądze na ruch faszystowski, i umiano udowodnić, że faszyzm został zaprzeczony kapitalistom.

Bieg czasu wykazał całą bezzasadność tych pierwszych alarmów — i to w sposób tak dosadny, że właściwie można go nazwać pogromem. Dziś nikt nie śmie kwestionować zdolności do życia ustrojów faszystowskich. Ofensywa pomimo to nie ustaje. Pobita na jednym polu, zdolna uczynić karkołomną woltę i z tą samą namiętnością, z jaką udawadniała faszyzmowi nieżywość, dziś zarzuca mu, że zagraża światu swoją skoncentrowaną potęgą. Jak na tak krótki czas, interesującej i charakterystycznej zwrot. Nie chcę jednak wyciągać z niego żadnych daleko idących wniosków. Konsekwencja jest tylko podrzędnym czynnikiem argumentacji, obliczonej na oddziaływanie na namiętność. Czynniki emocjonalne, które górowały w faszyzmie, decydowały tak samo w walce przeciwko niemu. Walka z faszyzmem — to, mówiąc nowoczesnie, kompleks nienawiści.

Dochodzić, dlaczego faszyzm nienawidzi komunistów oraz wszyscy pokrewni im duchem i pojęciami, nie ma chyba potrzeby. Idee faszystowskie obaliły marksistowski monopol na rozwiązanie sprawy socjalizmu. Wraz z nim runęła teza o międzynarodowej i ponadnarodowej solidarności klas. Socjalizm ma przeto rzeczywiste podstawy, by nienawidzić faszyzmu. Nienawidzi go też szczerze i otwarcie i przeciwstawia mu się z całą dokładnością socjalistycznej doktryny. Wśród opinii jednak bardziej niezależnej, zwłaszcza zaś w Polsce, gdzie podsta-

Wskazywanie na socjalistyczną zastępcę bardziej złożony liberalizm czy radykalizm — sprawa nie jest bynajmniej tak prosta (nawet gdy się uwzględni, że Żydów, których wpływ, potęga i bodajże sama racja istnienia w Europie jest na równi z socjalizmem zagrożona przez faszyzm).

Toteż akcenty główne, używane wśród tych sfer przeciwko faszyzmowi, opierają się przede wszystkim na nienawiści wobec gwałtu i przymusu. Postawa polemiki liberalnej jest jak gdyby czysto humanistyczna. Teza jej generalna dałaby się może streścić w zdaniu: obojętne jest, co tworzy faszyzm — skoro cele swe osiąga przez haniebne pogwałcenie człowieka. Można by mieć respekt przed tego rodzaju zasadą, nawet gdy się jej nie podziela. Niestety! Czystości intencji apologetów człowieczeństwa ma w sobie pewien fałsz zasadniczy, pewną śmiertelną skazę, która podrywa całość do nich zaufania. Ma tu na myśli olbrzymią niewspółmierność, z jaką humanitarysty traktują system gwałtów stosowany w Rosji Sowieckiej — rzeczywiście potworny, w stosunku do rygorów faszyzmu.

My, którzy żyjemy o międzę z Rosją Sowiecką, którzyśmy albo przechodziли piekło teroru w latach rewolucji, albo patrzeli jak ogarnia ono innych — pamiętamy dobrze bezradność, lekkomyślność, nieomal cynizm matadorów demokratyzmu w stosunku do morza krwi i lez przelanego w owe czasy. Ostre czasy ulicznej rewolucji już minęły, a i teraz wiemy, że nie kończąca się liczba ofiar reżimu ma się w Rosji Sowieckiej jak 100 000 : 1 jeżeli chodzi o Niemcy i bodajże milion do jednego w stosunku do Włoch. Każdy z nas rozumie, że nazwisku Matteotiego można przeciwstawić nieskończone kolumny zamordowanych w Rosji wyborczych ludzi. Ze byle jaka prowincjonalna czerzywczyka rosyjska jest większym przyczynkiem do historii gwałtu, niż cały system faszystowski. Ze zjawisko dzieci „bezprzornych”, „liszciców”, zesłanych na wyspach Solowieckich, armii potępieńców przy budowach murmańskich i syberyjskich — należy do kart dziejów ludzkich najbardziej bezprzykładnych w ciemnym okrucieństwie.

Być może, że i u nas znajdują się tacy, którzy osądzą, że lepiej iść pod murek na zgietych kolanach i dostać z tyłu kulę w łeb, niż poddawać się systematycznemu upokorzeniom w dyscyplinie obozów koncentracyjnych. Rzecz gustu!... Ale nikt chyba

nie zaprzeczy, że zachowanie człowieka nawet w przymusowej dla niego sytuacji jest pewnym aktem wiary w człowieczeństwo, wiary, którą przekreśla ponurość egzekucji bezopornej czy pośredniej.

Potępiając haniebne egzekucje, nie myślę — rzecz jasna — gloryfikować obozów koncentracyjnych, ani w ogóle wszelkich systemów gwałtu, poddanego chociażby najbardziej zdyscyplinowanej kontroli. Nikt też nie będzie utrzymywał, że stosowanie przymusu przynosi zaszczyt faszyzmowi. Kto myśli o gwałcie bez wewnętrznej wstydu, zatracił na pewno poczucie człowieczeństwa. Jednakże wiemy, że nie ma przewrotów bez przymusu. Jedynym zaś argumentem za słusznością gwałtu może być tylko to, że staje się koniec końców niepożrebny.

Rozwój wypadków w państwach faszystowskich wskazuje nam też na ciągły proces łagodzenia ostrych metod przymusu. Nikt nie może tego jednak powiedzieć o Rosji Sowieckiej. I oto w czasie, gdy w państwie bolszewickim lęcają raz po raz wzmożone salwy egzekucji, gdy w niepojęty zaiste w XX w. sposób wyciska się z ludzi pokorę, zagrażając niewinnym osobom z ich najbliższego otoczenia, gdy po Europie szaleją bandy politycznych gangsterów, dokonywane zamachów nie pod wpływem gniewu czy rozpaczy ludu, a na podstawie mafijnych rozrywek, gdy nawet list z Polski spada na głowę człowieka z tamtej strony jak zwiastun nieszczęścia i niedoli — w tym czasie humanitaryzm liberalnej Europy wysłał nadal swą pomysłowość, by napiętnować zbrodnie faszyzmu i ostrzec świat przed jego niebezpieczeństwem. Aby zaś być w spokoju z sumieniem, powiada się po prostu, że tanto jest niezrozumiałe... tajemnicze, wschodnie! W ten sposób przytyliśmy zdumiewające i haniebne zjawisko, że kiedy za granicą Rosji rozstrzelano już nie tylko „nieoogadanych” Rosjan, ale i Polaków, tu, na ziemi polskiej wyrosłych w komunizmie... Wandurskiego, Leszczyńskiego, Wojewódzkiego i innych — to nikt z ich wczorajszych przyjaciół nie zadal sobie trudu stanąć w ich obronie, ani nawet wyjaśnić przyczyn egzekucji! Taka rzecz mogła się przecież odbić ujemnie na walce z faszyzmem!

Zawile doprawdy są drogi sumienia patentowanych wyznawców humanitaryzmu i obrońców wolności! Iluż też z nich prze-

defilowało już proroczo przed naszymi oczami, żeby utonąć w cieniu niesławy i porażki moralnej! Co bystrzejsze głowy mają przynajmniej odwagę przyznać się do komunistycznej deziluzji, żeby z powrotem utonąć w świecie liberalnego demokratyzmu, którego bezradności sami są zresztą najwerniejszymi piewcami. Inni trwają w nieosłabłej zaślodności, nie dostrzegając że su-ma dobra kulturalnego i moralnego, broniąca dziś przez heroldów „praw człowieka” i wolności obywatelskiej, jest coraz to mniejsza i coraz mniej warta uwagi. Jeżeli niejednemu z nich zdaje się, że stoi na straży wspaniałych niezawodnie osiągniętych stwórczy XIX wieku, jeżeli byle gębacz sądzi, że on i tylko on odpowiada za Mickiewicza, Goethego, Beethovena, Chopina, Kanta itp. — to nie bezcelniejszego, jak dzieło powstałe w burzy i walce przy-właszczając sobie dla obrony gnuśności.

Ala wróćmy do rzeczy. Obrońców wolności jest w Polsce więcej niż przeciwników faszyzmu. Niezależnych indywidualistów więcej niż zwolenników demokracji. Pewien charakterystyczny dla nas kult wielkości i uwielbienie potęgi skłania nas do sympatii z zasadą silnej władzy, opartej na autorytecie. Jednocześnie jednak nie chcemy się godzić z niczym, co by uszczupliło nasze prawa i wolność. A już nade wszystko jesteśmy wrażliwi na przymus. Nie gwałtem! wszystko drogą przekonania wewnętrzne! Otóż trzeba sobie powiedzieć, że poczucie wolności osobistej i obywatelskiej byłoby wspaniałą cechą Polaków, gdyby mu towarzyszyło równie wysokie poczucie obywatelskiego obowiązku. Ale obrzęc obowiązkowości, która ujmuje przykładowe dla nas społeczeństwa liberalne Francji czy Anglii, jest w Polsce kruscha i pęka pod lada naciskiem nienawistno-waty.

Czy ci, którzy tak chętnie oślej oświeconemu i liberalnym Zachod stanawiali się kiedy, ile przemu warty jest w obyczajowości fra-angielskiej czy skandynawskiej — sów osiągniętych w ciężkiej, długiej dziej szko-le historii? Wolność oby w tych państwach równoważy ob-obowiązkowość, zawarta w enotach nieznanym, jak akuratność, słown-sta gra w interesach i stosunkach z pracowitość, poczucie hierarchii wiać nasz naród z Francją lub An-kazywać je jako wzór liberalny, t-bratni polskiemu duchowi, jest z-głupota i niczym więcej. Doch-karności w narodzie, zachowując u-mokratyczny — to przecież koło Rzucone w Polsce hasło wychowa-watełskiego, podjęte przez wszyst-zy, jest oszustwem, skoro jed-zwalcza się każdą ideę powszech-bejmującego wszystkich rygor! dzi przecież koniec końców na to-chowawcami mają być i chcą nin-partie polityczne.

Jużemy raz przechodził tę niszczącą „szkołę”, rozgromioną w-cie majowym. Nauka nie poszła w-bite partie powracając dziś na pi-o wiele lepiej uzbrojone niż daw-ganizowane „totalistycznie”, wy-we własne bojówki, w instytucje-we, w organizacje Wychowania-go, w urzędzenia gospodarcze, a-wolności obywatelskiej zrównowa-wnątrz, a duchem teroru na wew-świadcza rzeczywistość o jakiejś-kracji, której ostatecznym wyraz-bić tylko jakiś sądny dzień, ja-prawa wszystkich przeciwko w-Ale w masach, bałamuconych dzi-niej niż kiedykolwiek, żyje przeci-cie jakiegos bezprzeznego dobra-chnego i tęsknota do służenia jed-sprawie. Jeżeli gromadzą się w-to tylko dlatego że nie słychać glo-ry by ich powołal do służby dość- dość szczerze, dość kategorycznie.

Pozornie rozczłonkowana Po-jak nigdy, gotowa poddać się pr-jednego przekonania — przekona-kiej, heroicznej wiary w naród p-taki jakim jest, a taki jakim być-jakim być musi, jeżeli zięścić się-warte w naszej historii a tak nie-wające znamiona wielkości!

FERDYNAND GOETEL

IGNACY FIK

ZMARTWYCHWSTANIE

*Na ścieżkach swobodnego powrotu
gdy umocnione na chwilę są nasze okopy,
gdy nie wiruje nad głową żmivo pocisków poczęte w jeden dzień
z niedojrzalego kłosa —*

*znachodzimy z przerażeniem
kamienie zbryzgane krwią naszą lub przyjaciela:
nie spalil ich ogień, nie zniszczył czas, nie zżarla rosa.*

*To są ślady:
które nie znalazły wklęsłej dłoni — grobowca snu,
nie znalazły zdań listu przechowanego w portfelach,
nie znalazły swej chrzestnej matki —*

*Gdy zmartwychwstaną kiedyś nie dokończone ramiona,
każdy gest ich najbardziej powolny
zamaże nas:*

dzikie królestwo bezrękich cieni.

Następny (podwójny) numer „Pionu”

poświęcony w całości

KAROLOWI IRZYKOWSKIEMU

zawierać będzie m. in.:

Karola Irzykowskiego dramat w jednym akcie pt. „Człowiek przed soczewką czyli Sprzedane samobójstwo”, oraz prace Kazimierza Czachowskiego, Ludwika Frydego, Romana Kołoniczkiego, Wilhelma Korabińskiego, Jana Aleksandra Króla, B. W. Lewickiego, Stefana Lichańskiego, Alfreda Łaszowskiego, Tadeusza Peipera, Mariana Piechala, Jana Emila Skińskiego, Tymona Terleckiego i Kazimierza Wyki, epigramaty Coh-i-noor'a, rysunki Edwarda Głowackiego i Krzysztofa Henisza, ikonografię, itd.

Numer powyższy ukaże się w piątek, dnia 17 czerwca br. Cena zł 1.—

¹ W jednym z najbliższych numerów Pionu — Ferdynanda Goetla „Narodowość i nacjonalizm” (z cyklu Polacy i faszyzm).

JAN EMIL SKIWSKI

POLSKA CONTRA POLSKOŚĆ

„...instynkt narodowy jest frazesem”.

Aleksander Bocheński

Zwykle bywa, że publicysta, którego artykuł jest przedmiotem dyskusji, sam polemizuje z przeciwnikami. P. Stefan Kisielewski wolał jednak polemikę ze mną (na temat artykułu „A kulturę zrobimy później”) powierzyć p. Aleksandrowi Bocheńskiemu. Notuję ten szczegółik raczej jako ciekawostkę, bo substytucja ta w niczym mi nie przeszkadza. Poglądy wyrażone w artykule p. Kisielewskiego zajęły mnie nie tyle jako stanowisko indywidualne autora, ile pewnie, choćby małej grupy młodzieży, która reprezentuje. Ale dość o nim. Niech odpoczywa. Przejdźmy do p. Bocheńskiego, który zamieszczył w *Polityce* z 10 kwietnia b. r. artykuł o *imperializmie, o Skiuskim i o sprawie żydowskiej*. Choć p. Bocheński nowego nie powiedział, uważam jednak że artykuł wart jest zastanowienia, gdyż w sposób syntetyczny i wyraźny formułuje stanowisko grupy, nielicznej wprawdzie, odgrywającej znikomą rolę w naszym życiu politycznym, ale bądź co bądź istniejącej, a nawet legitymującej się udziałem kilku utalentowanych publicystów.

WIELKI WYBÓR
J. Młodkowski
 Pl. 3 Krzyży 18, Marszałkowska 92.

Nieraz zastanawiałem się nad tym, jaki istnieje związek między grupą dawniejszego *Bunt Młodych*, a dzisiejszej *Polityki* i konserwatystami starszego pokolenia. Ciekawość była uzasadniona, bo panowie z *Polityki* występują jako „młodzież” zachowawcza. Diagnoza jest co prawda utrudniona, jako że polski konserwatyzm nie ma ekrystalizowanego oblicza i mimo że liczył wśród swych ludzi jednostki wybitne, to jednak jako doktryna, a nawet jako „postawa” w znaczeniu szerszym, jest mętny i nieokreślony. Konserwatyzm zachodnio-europejski, mówiąc krótko, głosi pogląd, że pewne instytucje i formy ustrojowe przeszłości zachowały żywość i powinny być bądź kontynuowane, bądź wkrzeszone. Nasz konserwatyzm nie podobnego twierdzić nie może, gdyż jak to słusznie już dawno zauważył Dmowski, nie ma czego u nas konserwować. Gdzieś są bowiem te instytucje, te formy ustrojowe przeszłości, o których wkrzeszenie czy zachowanie można by w Polsce współczesnej walczyć? Nie mieliśmy ani feudalizmu, ani porządnej tradycji monarchicznej, ani solidnego parlamentaryzmu. Z konieczności przeto konserwatyzm nasz musiał osnuwać się koło spraw z politycznego stanowiska raczej drugoplanowych. Stał się obroną interesów i prestiżu sfery ziemiańskiej. Daleki jestem od potępienia w zambul tych „obszarniczycy” tendencji. W kraju takim, jak nasz, cywilizacyjnie usteżonym, opieka którą się otacza warstwa historyczne ma swój sens ze stanowiska kultury — pod warunkiem jednak, aby obrona wartości kulturalnych nie przerodziła się w zabieganie koło interesów ojcowizny, dla których owe imponowalność są tylko firmą i żyrem na weksłu.

Jeśli zapytać dzisiejszego konserwatystę, jaki jest jego program polityczny, okaże się, że program ten jest negatywny, polega na obronie nie tyle takiej czy innej formy ustrojowej, ile stanu posiadania warstw uprzywilejowanych; poza tym na dorobek „ideowy” konserwatyzmu składają się takie pojęcia jak ewolucja, brak przymusu, umiar itp. Są to co najwyżej hasła taktyczne i nawet na największym bezrybiu politycznym nie mogą stać się za program. Tak jest dzisiaj. Ale nasz konserwatyzm czasu zaborów nie był tak wywołany. Nie stworzył wprawdzie doktryny, ale stworzył pewien sposób myślenia, nalogi i przesady. Był raczej taktyczny niż programowy, eklektyczny niż twórczy, ale miał metodę i taktykę. Konserwatysty czynni byli to ludzie, którzy dzięki swym stosunkom u dworów starali się przekonać mężów, kierujących polityką mocarstw zaborczych, że racja stanu ich państw zbiega się z interesem polskim. Nie myślę rzucić kamieniem potępienia na ludzi, którzy występowali wówczas pod tak zdyskredytowaną w społeczeństwie patriotycznym firmą *ugodowców*. Były wśród nich jednostki bezinteresowne, usposobione patriotycznie. Jakkolwiek byśmy jednak pod-

nosili zalety ich charakteru i umysłu, nie sposób zaprzeczyć, że ich postępowanie było złą szkołą polityczną. Sposób myślenia przedwojennego konserwatysty odznaczał się zupełnym niemal oderwaniem od społeczeństwa, od masy narodowej, polegał na wierze, że wszystko w polityce zależy od mechanicznej gry sił, od małej grupy osób wiodzących jak jest „naprawdę” i „robacych” politykę „serio”. Tymi osobami byli mężowie stanu państw zaborczych i ta nader nieliczna grupa ze społeczeństwa polskiego, która miała do nich dostęp i mogła na ich decyzje wpływać. To było w ich oczach ważniejsze od akcji parlamentarnej. Masa, naród, jego przeobrażenia, aspiracje, — to wszystko były rzeczy nieskończenie dalekie, których konserwatysty ani nie rozumeli, ani nawet nie starali się rozumieć. A jeśli próbowali nawiązać czucie z tymi sprawami, to umając je w schematy materialistyczne, zaczerpnięte z katechizmu kapitalistycznego i oparte o kanony „zdrowego sensu”, obowiązującego w środowisku społecznym do którego sami należeli.

A oto dziś pojawiają się konserwatysty *młodzi*. Co ich łączy ze starymi? *Polityka* jest bardzo niepodobna do *Czasu*. Ani „ideologia” umiaru, ani inne hasła wysuwane przez starą konserwę nie mają dla młodych charakteru wiążącego. Przeciwnie, jest to pismo prowadzące dyskusję żywą, pełne teoretycznej przynajmniej awanturności. A jednak związek między starą konserwą i to tą z czasów ugody, a młodymi zachowawcami z *Polityki* — jest oczywisty. Łączy obie grupy nieuczuloność, nierozumienie przeobrażeń wewnętrznych życia narodowego. Łączy je ta sama wiara, że politykę można „zrobić”, że polityka to jest szarada, którą rozwiązują specjaliści, że w końcu zawsze jakichś paru panów coś tam urządzi i to właśnie jest obowiązujące dla wszystkich. Naród to tylko „masa”, to tylko „materiam”, którą trzeba umiejętnie popychać po linii, którą wytyczą specje od polityki, jej przysięgłe wyroczynie. Toteż nie dziwnego, że organ naszych „młodych” zachowawców jako jedynę zagadnienie godne swej uwagi uznaje politykę zagraniczną. Bo to jest dział, który najdalej, pozornie przynajmniej, stoi od tej wielkiej niewiadomości, którą jest dla nich życie narodu (Bujda panie, frazes!). Jeśli interesują ich zagadnienia mniejszościowe lub gospodarcze, to znówu ze stanowiska przydatności tych spraw do rozrywek polityki zagranicznej. Życie wewnętrzne narodu — to dla nich nie tylko niewiadoma, ale rzecz nieciekawa i obojętna. P. Bocheński, na przykład, w cytowanym artykule bardzo sobie śmiało pozwala mówić, że „żadne inne wewnętrzne sprawy nie śmia odwracać, zajmować, demobilizować sił młodego pokolenia, które powinno być w jeden tylko cel wpatrzone i jednemu tylko Bogu służyć” — a tym jednym celem jest dla p. Bocheńskiego konieczność nieopuszczenia do zwracania nożyc rosyjsko-niemieckich.

Nie to jest falszywe, że p. Bocheński i jego koledzy polityczni tak wielką przywiązują wagę do owych nożyc i konieczności przeciwdziałania ich zwraciu — tylko falszywe jest to, że sądzą, iż jest to jakiegoś zagadnienie szachowe, matematyczne, niemal pozaludzkie, które można rozwiązać poza łącznością z procesami wewnętrznymi, odbywającymi się w narodzie. Bo sprawy wewnętrzne — to w ich pojęciu jakieś danie *pour la bonne bouche*, na które sobie można pozwolić w święto, w kółku rodzinnym, na werandzie, przy ciepłej letniej pogodzie. Ot! dodatek, premia, prezent dla amatorów — „serio” są tylko szarady polityczne. Otóż ta propozycja jest falszywa i upieranie się przy niej świadczy o braku wszelkiej żywej łączności wizerów z *Polityki* z treścią współczesnego życia polskiego.

P. Bocheński powiada że szczerością, która przynosi zaszczyt jego odwadze cywilnej, ale nie jego spozstrzegawczości, że instynkt narodu to tylko frazes. Charakterystyczne. Pojęcie Polski sprowadza się ostatecznie u tych ludzi do jakiegoś symbolu. Prestiż Polski — to prestiż nazwy, prestiż urzędów politycznych, prestiż państwa. „Reszta” — to „sulica”. Ale kto by mi kazał czcić i kochać formę, jeśli treść mi jest obojętna? Jakże ma znaczenie słowo Polska, skoro wypomniemy z niego polskość? Charakterystyczne są przykłady, które p. Bocheński przytacza, starając się udowodnić że instynkt narodu, jego pragnienia, aspiracje, sympatie i antypatie są złudą, z którą się polityk liczyć

nie powinien. P. Bocheński, tak jak i inni jego koledzy polityczni, jest uzurpator przez historię. Posługując się tym narzędziem, nie robiąc koniecznych korektur. Podobnie i tutaj: przykłady, cytowane przez p. Bocheńskiego, a świadczące mające o tym, iż racja stanu państwa mija się z instynktem narodowym, zaczerpnięte są z tych okresów historii, kiedy świadomość narodowa była na niskim szczeblu kultury politycznej, kiedy polityka ogniskowała się w rękach dynastów i ich powierników. Wtedy po prostu nie było właściwej relacji między pragnieniami narodu, jego życiem — i polityką. Inaczej jest jednak w Europie współczesnej. Polityka zagraniczna coraz bardziej staje się wykładnikiem siły (nie tylko militarnej) poszczególnych narodów. Kierują nią jednostki, które są wyzicielami prądów nurtujących społeczeństwo, a nie operatorami czy reżyserami politycznymi.

P. Bocheński zaleca imperializm. Zgoda. Ale trzeba przecież zrozumieć, że imperializm nie zrobią artykuly *Polityki*, nie zrobi go również najlepszy minister spraw zagranicznych, a nawet najbardziej waleczna i dobrze uzbrojona armia. Imperializm może być tylko *funkcją wewnętrznego stanu potencji psychicznej i gospodarczej narodu*. Sprawy wewnętrzne nie tylko łączą się z zewnętrznymi, ale są ich *podstawą*. I dlatego zagadnienia żydowskiego nie można rozważać tylko ze stanowiska służby bezpieczeństwa, upatrując jedyny powód szkodliwości Żydów w tym, że mogą w czasie wojny brudzić nam przez takie działania, jak sabotaż, zdrada itp. Trzeba nauczyć się widzieć w kwestii polsko-żydowskiej zderzenie się dwóch światów, które nie chcą współzycia i które na naszym terytorium walczą o pierwszeństwo. Pomijając stronę gospodarczą zagadnienia, wyszuk uprząpny przez Żydów na proletariatus polskim, zamknięte żydowskie koło procesów gospodarczych, mające swój odrębny, wewnętrzny obieg, kalkulowały pod kątem nie polskich, lecz żydowskich interesów — spozstrzegamy jeszcze ogromny obszar spraw psychicznych, kulturalnych i obyczajowych, które są najpotężniejszymi czynnikami antagonizmu polsko-żydowskiego i których rozwiązanie jest jednym z elementów mocnego samopoczucia narodu, warunkujących naszą *postawę imperialistyczną*.

OGRÓD - KAWIARNIA K. DAKOWSKIEGO w Bagateli

jest najmilszym miejscem spotkań elity towarzyskiej stolicy
 KONCERT dwa razy dziennie - DANCING - COCKTAIL BAR - WYSTĘPY ARTYSTÓW

Rzecz ciekawa: wśród publicystów grupy p. Bocheńskiego znajdujemy niejedno utalentowane pióro. *Polityka* redagowana jest zajmująco, czyta się ją z przyjemnością, jest żywa i śmiała. Ta śmiałość w formułowaniu postulatów jest mi sympatyczna, raz nawet wystąpiłem w jej obronie przeciw atakowi rytyni politycznej. Ale mimo tych wszystkich zalet, których nie chcę pomniejszać, trudno zaprzeczyć że *Polityka*, jako grupa czynna, po prostu nie wchodzi w rachubę w życiu Polski. Rząd i jego prasa bacznie obser-

pie”. Polszczyzna nieszczególna, ale owszem, wcale mocno i wcale słusznie. Coż jednak myśleć o programie grupy politycznej, której jeden przedstawiciel okazał Bluma — wódza frontu ludowego — charakteryzując go jako dobrodzieja Francji i niezawodnego przyjaciela Polski, a wkrótce potem w artykule redakcyjnym pisma tej samej grupy temuż frontowi ludowemu dostaje się tak cierpkie słowa jak przytoczone? Ponieważ *Polityka* lubi wyrażać się z ukraińska, więc mogę powiedzieć jak to się nazywa. To się nazywa *beholowicie*.

JAN EMIL SKIWSKI

OD REDAKCJI

Ponieważ konkurs „Pionu” na nowelę został już rozstrzygnięty (por. nr 19 „Pionu”), autorzy utworów nie nagrodzonych, nie wyróżnionych ani nie zakwalifikowanych do druku proszeni są o odbieranie rękopisów.

Zainteresowani mogą odbierać je osobiście codziennie, w godz. 12-13, w lokalu Redakcji „Pionu”.

Chcący otrzymać rękopisy pocztą muszą nadesłać: 1) imię i nazwisko, 2) dokładny adres, 3) tytuł i **godło** noweli, 4) znaczki na sumę gr 50 (lub gr 80, jeśli przesyłka ma być wysłana jako poleconka). Za pobraniem pocztowym rękopisów wysłać nie będziemy.

Rękopisy nowel będą zwracane lub odsyłane do dn. 25 czerwca br. włącznie. Po tym terminie pozostałe rękopisy zostaną bezwzględnie zniszczone i Redakcja nie będzie przyjmowała z tego tytułu żadnych reklamacji.

Informacji w sprawie ukończonego konkursu udzielać będziemy tylko na łamach „Pionu”.

KONRAD WINKLER

LUCJAN ADWENTOWICZ I „PRYZMAT”

Odnoszę wrażenie, iż w „Pryzmacie” Lucjan Adwentowicz, podobnie jak Jacek Mierzejewski w krakowskiej grupie formistów, stał się głównym czynnikiem w procesie ustabilizowania i ukłasyfikowania malarskich osiągnięć swych kolegów i komilitonów. Czasy studiów

tysta wszelakiej beznamiętnej i nieszczerzej sztuce, wszelakim trickom i smaczkom malarskim, sprowadzającym do martwej zasady każdy żywy strzęp życia.

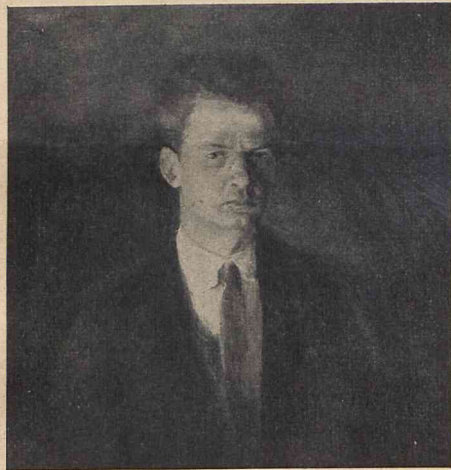
W „Pryzmacie” tradycja impresjonistyczna jest nie tylko zakwalifikowanym przeżyciem estetycznym, lecz także świadomie o-

plych z zimnymi raczej przez ich asymilację, niż przez kontrasty — podczas gdy Sokolowski w transmutacji materii malarskiej zdradza daleko idące aspiracje, uzależniając za razem poszczególne akordy barwne od podstawowego kamertonu, który jako motyw główny dźwięczy z płaszczyzny obrazu. W pejzażu Kowarskiego dominuje jak zwykle forma, a jego mocna, prawdziwie męska faktura instrumentuje kolor akcentami jak gdyby stopionego metalu. Jaeschke w swych gobelinowych pejzażach zapoznaje nas z subtelną estetyką i muzykalnością czysto kolorystyczną, a Kossowski w kilku nowych płótnach z Rzymu przekonywa widza konsekwentną rozbudową swej plastycznej kultury. Kononowicz natomiast tym razem jakoś nie dopisał.

Blżej impresjonizmu i postimpresjonizmu znajdują się inni pryzmatowcy, którzy jak Dutkiewicz (martwa natura), Polański (piękne rysunki węglem), a dalej: Ruszkowski, Siemiradzki, Szulcowska i niezwykle zrównoważony w swej harmonii czystych tonów Wodyński — odmieniają na swój sposób świetlną materię zjawiska w naturze. To, co tych malarzy łączy, jest zarówno ważne, jak to, co ich ostatecznie dzieli — każdy z nich bowiem mierza do swych własnych treści, bogacąc o jeden akord zbiorowy dorobek tej interesującej grupy.

Wystawione w osobnej sali meble jesienne W. Wołkowskiego dają niezłe wyobrażenie o smaku i poczuciu konstrukcyjnym tego artysty.

KONRAD WINKLER

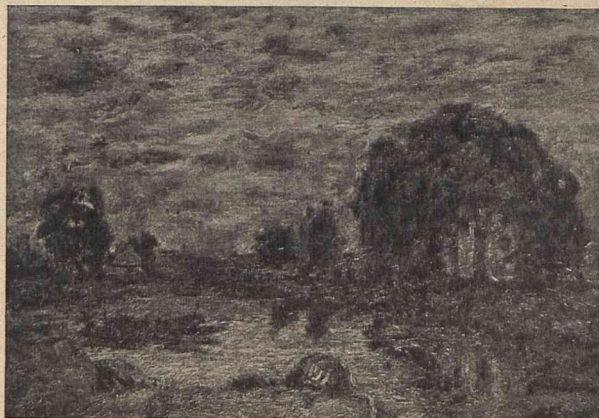


LUCJAN ADWENTOWICZ

Autoportret

akademickich były dla Adwentowicza niemal miarodajne dla obrania drogi. W pracowniach prof. Kowarskiego i Pankiewicza znalazł młody artysta niejako laboratorium eksperymentalne, gdzie w ogniu nie było jakich poteńszeń wiedzy malarskiej i doświadczenia stapiały się estetyki tych znakomitych pedagogów. Pobyt we Włoszech rozświetlił widnokrąg nabytej wiedzy przebliskiem wielkiej, monumentalnej sztuki, a freski pompejańskie podniosły temperaturę marzeń o tej twórczości wiecznej, niezniszczalnej, dalekiej od fragmentarycznej przypad-

branym punktem wyjścia dla indywidualnego rozwoju i własnych rozwiązań malarskich. W grupie tej uderza rozległość malarskich poszukiwań, umiarkowanie w operowaniu czystym kolorem i powściągliwość oraz powaga w stosowaniu efektów faktury, przede wszystkim zaś zachowanie równowagi między elementami formy i barwy. Znaczna część tych malarzy przeszła już poza impresjonizm, zmierzając niedwuznacznie do stabilizacji kształtu rzeczywistego na płótnie, do materialnej jakości przedmiotu, postawionego w walorze. To już nie „temperament”, który



JAN SOKOŁOWSKI

Pejzaż

KOMEDIA O KOMEDII

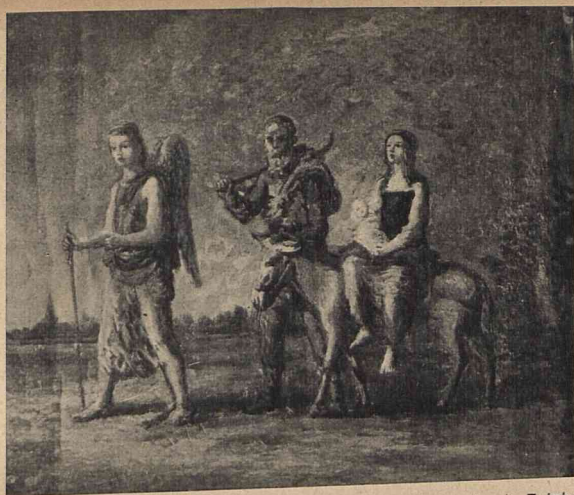
TEATR KAMERALNY: *By rozum był przy młodości*, komedia w 3-ach aktach Samsona Raphaelsona. Przekład Florianą Sobieniowską. Reżyseria: Karol Adwentowicz. Dekoracje: Stanisław Jarocki.

Przelewanie się życia w fikcję artystyczną i na odwrót — to temat rzeczywistocie nadający się do jakiejś znakomitej komedii. Niestety, przerasta on w całej swej rozpiętości talent amerykańskiego autora, który zdołał nadać sztuce tylko zewnętrzny nałot humoru sytuacyjnego, wspartego na kilku doskonałych i niebanalnych partiach dialogowych. Nie komplikując sztuki w jej przekrojach — że tak powiem — „pionowych”, Raphaelson popadł w pewne dłużyzny, które ólówek reżysera powinien był stanowczo usunąć. Kto do świetnego pomysłu umie sobie dopieścić wyobraźni utwór inny, całkowicie odmienny od tego, który widzi na scenie — ten na komedii Raphaelsona bawił się doskonale. Ale i tak można było się ubawić — zwłaszcza finałem sztuki, w której do kłęski życiowej głównego bohatera, komediopisarza Caye, przyłącza się

kłęska artystyczna, kto wie czy nie stokroć gorsza.

Reżyseria Adwentowicza, niezwykle sprawna i sumienna, podkreśliła nie tylko wszystkie dokonania, lecz także i możliwości sztuki. Postaci istotnie ciekawe i dobre jeszcze zyskały dzięki wykonawcom; postaci słabsze miały w sobie maksimum humoru i temperamentu. Pod względem wykonania aktorskiego przedstawienie było bez zarzutu; na wyróżnienie zasługują pp. Adwentowicz, Kwaskowski i Wł. Ziemiński. P. Grywińska niepotrzebnie przejawiała pewne sceny dynamizmem dramatycznym głosu i gestów. Dekoracje Jarockiego — nawet jeśli się weźmie pod uwagę rozmiary sceny Teatru Kameralnego i jej kiepskie wyposażenie techniczne — zupełnie nie dostosowane do wymagań sztuki i wprost niechlujne. Obsługiwać jednocześnie pięć teatrów stolicy — to byłoby zbyt dużo pracy nawet dla dobrego dekoratora. Nic więc dziwnego, że Jarocki coraz częściej „knoci”.

ROMAN KOŁONIECKI



LUCJAN ADWENTOWICZ

Uciezka do Egiptu

kości zjawiska w naturze. Adwentowicz umarł jednak zbyt młodo. Patrząc na jego wystawę nie można się oprzeć wrażeniu, że to wszystko zaledwie początek, prelude — chociaż są w tym jego dorobku obrazy tak piękne, jak np. „Portret pani na niebieskim tle”, „Zwózka” lub wspaniałe w harmonii kolorystycznej studium „Włóczędzy”.

Lecz miara, która wypada nam mierzyć twórczość Adwentowicza, z konieczności musi być inna. Należał on bowiem do tych niewielu malarzy, którzy osiągnęli wysoki stopień zrównoważenia formy i środków malarskich z treścią malowidła, normują zjawiska w sztuce już samym swoim istnieniem. W malarstwie tym przejawiał się cały człowiek z treścią swego tragicznego żywota, między życiem a śmiercią, zwątpieniem a nadzieją, między entuzjastyczną wolą tworzenia a bezsilną apatią wobec okrutnego wolań losu. Tę tragiczną grę o młode życie w swym wzruszającym „Cyklu szpitalnym” z otwociego sanatorium przeciwstawiał niejako zmarły ar-

reagował na swój sposób na zmysłowe jakości świata — to świadoma wola, że swym apriorystycznym założeniem malarskim i planową budową. Bo sama wizyjność tematu nie jest doskonała. Daje ona zaledwie surogat, ogólny zarys, niby kontur przedmiotu oświetlonego nagle zygazkiem pioruna w noc dżdżystą i ciemną. Dopiero później przychodzi refleksja, namiętny nad zamierzonym dziełem i odkrywcze działanie intencji. Mówi się przecież o Cézannie, że skoro nie mógł się zdecydować na położenie jakiegoś koloru na obrazie — pozostawiał tą część płótna niezamalowaną.

Ton ogólny „Pryzmatowi” nadają przede wszystkim prof. Kowarski i Pękalski oraz Sokolowski. Obok nich Jaeschke, Kossowski i Studnicki z powodem doszukują się malarskich odpowiedników dla swych wewnętrznych dyspozycji, regenerowanych ustawicznym kontaktem z naturą. Prof. Pękalski w swych barwach ściszonych, zalamanych uzyskuje szlachetne harmonie tonów cie-

„A T E N E U M”

Trzeci zeszyt *Ateneum* prezentuje się korzystnie. Redaktorowi udało się wyrównać poziom, tak że nie znajdujemy już w tym numerze słabych punktów jak w zeszytach poprzednich. Utrzymane w charakterze magazynu, *revue*, gromadzące prace bardzo licznego i bardzo różnorodnego zespołu autorów, pismo Napierskiego umie jednak stawiać pewne granice swemu eklektyzmowi, nie dopuszcza wszelkich poglądów i wszelkich kierunków literackich na swe łamy.

W nowym zeszycie Borowy pisze o Drużbackiej, Irzykowskiej o perspektywach szopenhauseryzmu, Blüth o zagadnieniu narodowym w *Korsarzu* Conrada, Wintowska o Charles Péguy. Najwięcej zainteresowania budzi artykuł Winowskiej, kreślący żywą sylwetkę francuskiego pisarza i myśliciela, którego ponadto reprezentują w numerze przekłady pióra autorki artykułu. Twórczość oryginalna nie przedstawia się tym razem zbyt bogato; główną jej pozycją — dwa nieznanne wiersze Norwida, ogłoszone przez J. W. Gomulickiego. W dziale przekładów wymienić trzeba dwa bardzo zgrabne tłumaczenia z Fieta i Bloka K. A. Jawor-

skiego, który wznosił się tu ponad swą przeciętną miarę, oraz utwory ukraińskiego poety Tycezy w przekładzie J. Czechowicza. W dziale „Uwag” znajdujemy głosy polemiczne Kazimierza Wyki i Ludwika Fryderyka, w których ciekawie zarysowuje się przeciwieństwo dwóch postaw wobec „klerkizmu”. Recenzje, porządne i nieraz drobiazgowo, nie przynoszą rzeczy ciekawszych; żywe natomiast i cenne są niekiedy noty o czasopiśmie, z których wymienić trzeba trafną notę o *Marcholcie*.

Ateneum spotyka się z ostrymi sądami ze strony młodych; ostatnio ukazały się także sądy, na pewno szczerze i nie pozbawione uzasadnienia, w czasopiśmie *Orka* na *Ugorze* i *Trybuna Literatów* i *Artystów*. Bo też dwumiesięcznik Napierskiego nie jest piśmie młodym, nie walczy o jasno wyrażone ideały, lecz raczej rejestruje, porządkuje i — co gorza — kolekcjonuje. Skoro jednak czyni to ze smakiem i nie bez myśli, trzeba — nie przeceniając jego twórczej roli w kulturze — uznać go za pożyteczny nabytek w naszym tak bardzo ubogim poważnym czasopiśmiennictwie literackim.

Pamięci zmarłego filozofa, profesora U. J. Witolda Rubczyńskiego, poświęcił numer specjalny *Czas* z dn. 2 czerwca. Zabierają w nim głos profesorowie, koleżdy uczonego: ks. Konstanty Michalski, Tadeusz Garbowski, Zygmunt Zawirski i Roman Dyboski. W czterech artykułach zarysowuje się postać Rubczyńskiego przedziwnie jednolicie i wyraziście. Ukazuje się w nich szlachetny pisarz i myśliciel, człowiek mądry i dobry, stojący niezachwianie na gruncie idealizmu etycznego. „Filozofia mogła mu się stać krytyką ukोजना, bo naczelne jej pojęcie, Bóg, utożsamia się dla niego, za wyrazem wpływem myślicieli hellenickich, z pojęciem Miłości. Dwa te terminy łączą wprost znakami równania (w książeczce z r. 1934). Chryścianizm ma być przeciwieństwem „Zakonem miłości”.

Dorobek naukowy Rubczyńskiego jest znaczny. Najwięcej działał na polu badań nad filozofią średniowieczną; ogłaszał też liczne prace z zakresu historii filozofii polskiej, estetyki, etyki. Głównie jego dzieła są dwa: *Zarys etyki* (1916), drugie przeobrażone wydanie w r. 1936 oraz *Filozofia życia duchowego* (1925). Bije z tych dzieł wiara, że duch jest niezniszczalny, że „światem władnie Rozumna, Sprawiedliwa i Miłosierna Potęga”. *Filozofia życia duchowego* zrodziła się z bolesnego przejścia, śmierci czternastoletniego syna w czasie wojny. „Z rozdartej bólem duszy zrodził się wtedy pomysł, żeby nie tylko z rezygnacją schylić czoło wobec wyroków bożych, lecz z własnego krzyża zbudować dla innych drogowskaz życia na chwile, kiedy ich dusze doznają podobnej udręki”. Jednym z pierwszych i najgorliwszych czytelników tej książki był inny nieszczęśliwy ojciec — Stefan Zeromski. Ślady tej lektury, cytaty i myśli zrodzone w tym czasie, znajdujemy w notatkach opublikowanych po śmierci wielkiego pisarza; w tomie p. t. *Smierć*.

Sprawa Wojciecha Bąka, poety namienić i uwielbianego przez jednych a równie namienić i zwałcanego przez drugich, zaktualizowała się ponownie wskutek ostrej recenzji z *Monologów antycznych* L. Frydgo, zamieszczonej w trzecim zeszycie *Aetneum*. Recenzja ta wywołała artykuł Stanisława Piaseckiego w *Prosto z Mostu* pod socjalistycznym tytułem *Ofensywa estetycznych sądów*. Artykuł ten wyraża poglądy, że „Wojciech Bąka — to sprytny konspiracyjczy się „talentyści” i „poziomowcy” spod znaku *Wiadomości Literackich*, fałszywi Europejczycy, miłośnicy smaczków, kipeży literacy etc.

Od oceny występu publicystycznego p. Piaseckiego powstrzymujemy się. Zanotujemy jeszcze w związku z tą sprawą artykuł Hieronima Michalskiego *Poeta wiary* w nrze 22 *Kultury*. Scharakteryzowawszy ewolucję duchową Bąka, krytyk wywodzi, iż ostatni tom poety stanowi krystalizację wewnętrzną i także artystyczną. „Niesłychana siła wyrazu, jaka bije z jego poezji, powaga problematyki, odpowiedzialność za manifestującą się poprzez poezję treść wewnętrzną — oto co nadaje twórczości Bąka na tle estetycznych tendencji dzisiejszych znanie zjawiska wyjątkowego, a zarazem potwierdza jego znaczenie i pojęcie w rzędzie najwybitniejszych naszych poetów współczesnych”.

Oto jeszcze jedna dyskusja literacka, ciągnąca się od miesięcy: epór o *Krzyżowców* Zofii Kossak. Atakowano tę powieść jako wiadomą z dwóch punktów widzenia: z punktu widzenia prawowierności katolickiej i z stanowiska ścisłości historycznej. Bronił prawdy historycznej powieści prof. Oskar Halecki. Polemika w tej kwestii nie ustaje; w numerze *Polityki* z dn. 25 maja ukazał się artykuł Bohdana Baranowskiego, który stawia atak zarzut, dotąd — o ile się nie mylimy — nie wysuwany. P. Baranowski twierdzi, iż Zofia Kossak opierała się bezkrytycznie na starych kronikach i nie poznała dzieł naukowych, które wniosły do owych kronik niejedną korektę. To też obraz średniowiecza, który zarysowuje się na podstawie jej powieści, jest w wielu punktach rażąco niezgodny z naukowym poglądem na średniowiecze. Tyczy się to przede wszystkim przedstawienia świata muzułmańskiego. „Wydaje się, że autorka ma słabe pojęcie z kim właściwie wojowali uczestnicy pierwszej wyprawy krzyżowej”. Nie zdaje sobie ona sprawy ze różnicowania świata muzułmańskiego w czasie kru-

cjat, popelnia liczne usterki dotyczące historii politycznej a także błędy związane z tłem obyczajowym. „Nie ośmielię się bynajmniej twierdzić — pisze autor w konkluzji — że to wymienione błędy i usterki, spotykane tak licznie w powieściach Zofii Kossak, wypływają z malej znajomości epoki. Przeciwnie, autorka przestudiowała liczne źródła, popelnia jednak błąd metodyczny, używając tej tak niebezpiecznej broni, jaką są kroniki współczesne odwrotnie epoki, i niejako walcząca tą bronią na ślepo bez krytycznego umiaru”.

Omawiając w *Kulturze* z dn. 5 czerwca szereg nowości z zakresu literatury krytycznej, H. Michalski zwraca się do wydawców z apelem, aby w szerszych rozmiarach niż dotąd uwzględniali w swej działalności krytykę literacką. Michalski wymienia dwadzieścia sześć nazwisk pisarzy starszego i młodszego pokolenia, którzy jego zdaniem powinni być objęci tą akcją wydawniczą. Akcja ta — jeśli dobrze rozumiemy intencje autora artykułu — ma polegać na publikowaniu w formie książkowej artykułów literackich wymienionych pisarzy.

Takie postawienie sprawy wywołuje pe-

wne obawy. Przez mechaniczne klecenie książek z artykułów dziennikarskich pisarz wzbogaca tylko swą bibliografię i zwalnia od postulatów twórczości krytycznej na większą skalę. Takiej twórczości krytycznej prawie nie posiadamy i nie można się ludzi, że zastąpią ją książkowe wydania recenzji. Rozwój krytyki, dziś na ogół sprowadzający się do mniej lub więcej dorywczych sprawozdań z książek, wymaga jako głównej przesłanki polepszenia się *opłacalności* tej dziedziny literatury, a więc wzrostu ilościowego poważnych czasopism, przede wszystkim miesięczników i kwartalników (w rodzaju np. *Aetneum*), które w dostatecznym stopniu honorowałyby pracę krytyka. W obecnym stanie rzeczy publikacje książkowe z dziedziny krytyki muszą być rzadkie, albo też będą to luźne zbiory recenzji, ważne jedynie dla historyka literatury. Od pisarza, który zbiera pod wspólną okładką swe rozproszone prace z czasopism, musimy w każdym razie wymagać selekcji materiału, ponownego przepracowania i poprawienia tak pod względem formalnym jak treściowym i wreszcie ułożenia tego materiału w mniej lub więcej ujednoczoną całość.

REGINALD CAMPBELL: *W dolinie tygrysa*, powieść. Przel. J. B. Rychliński. Warszawa 1938. Księg. Wł. Michalak i S-ka.

Dr ANTONI CZUBRYŃSKI: *Komentarz astralistyczny do Apokalipsy św. Jana*. Bydgoszcz 1938. Polskie Towarzystwo Astrologiczne.

Kultura i cywilizacja. Praca zbiorowa. Lublin 1937. Uniwersytet. Tow. Wiedzy Chrześcijańskiej.

Bolszewizm. Praca zbiorowa. Lublin 1938. Uniwersytet. Tow. Wiedzy Chrześcijańskiej.

Feliks Jabłczyński, 1863 — 1928. Monografia zbiorowa. Warszawa 1938.

ZELISŁAWA SZYSZKOWSKA: *Sprawa rozwodowa Ryszarda Montholon*. Warszawa 1938.

BOLESŁAW PODHORSKI: *Zagadnienia społeczeństwa i państwa polskiego na Wolsyniu*, z mapką. Poznań 1938. Nakł. „Awangarda Państwa Polskiego”, Biblioteka Awangardy, t. XI. Skład gł.: Dom Książki Polskiej, Warszawa.

Lubelski Związek Pracy Kulturalnej. Sprawozdanie z działalności za rok 1937. Opracował dr L. Dutkiewicz, Lublin 1938.

ZDZISŁAW KWIECINSKI i BRONISŁAW NYCZ: *Życie teatralne Lublina w latach 1933/34 — 1936/37*. Lublin 1938. Tow. Przyj. Nauk. Skład gł.: Księg. św. Wojciecha.

MARIA z COLONNA WALEWSKICH WŁOPOLSKA: *Obyczaj towarzyski*. Lwów 1938. Państw. Wyd. Książek Szkolnych.

NOWA KSIĄŻKA O DZIEJACH ŚWIATA

Godziny wieków znaczą swój pochód na dziejowym zegarze w nierównomiernym rytmie. Czasem zwalnają postęp kultury, czasem znowu przyspieszają rozwój ludzkości. Każda generacja — każda epoka daje swój wkład, jedna w większej, druga w mniejszej mierze. Z tych apertów narastają godziny wieków, które w sumie stanowią dzieje społeczności ludzkiej. Oto geneza tytułu książki niezwykle, nie podpadającej pod żaden z dotychczas znanych typów historiografii lub popularyzacji historii, książki fascynującej nie tylko swą piękną formą, ale zachwycającej czytelnika głębią przemyślenia, umiającej nie błyskotliwścią efektów stylistycznych lub literackich, lecz szerokim poglądem na całokształt tego, co wydarzyło się na globie ziemskim od pradziejów do doby obecnej”.

Tematem książki są dzieje całego świata, wypadki najistotniejsze i postacie czołowe, które byłyby motorami tych wydarzeń — uchwycone w ruchu, odtworzone w całej dynamice. Wypadki i ludzie przesuwną się przed oczyma czytelnika — niczem niezwykle film — w skrótach wielkich, w zarysach najogólniejszych, lecz z całą ekspresją i plastyką. To zmienia się na widownię dziejową dla odegrania swojej roli w wielkiej ewolucji ludzkości. Te pozornie oderwane obrazy wiąże w jedną całość, w jeden pelny obraz — prawo ciągłości historycznej. Historia — *magistra vitae* znaczy swój pochód od równi po bieguny, od wschodu na zachód, wstępując w rozmaitych formach dla spełnienia wielkiej swojej misji. Przejdzie ponad chińskimi murami, nie zdławi jej żelazo, nie wytopi ogień. Mimo nieszybcielekich pochodów, które dążą do wyplenienia tego co było przed nimi, pomimo zakazów, zmierzających do przekroczenia kola wydarzeń i wyrwania całej przeszłości z pamięci, pozostawi ona potajemnie, niezatarte ślady, które zdola odejrywać badacz specjalista, skojarzy myśliciel i wykaże w dalekiej przeszłości praczątki nurtów i idei współczesnych.

ERNEST GOMBRICH: *Godziny wieków*. Historia świata dla ciebie. Lwów 1938. Państw. Wyd. Książek Szkolnych.

O przedstawienie wielkiego dziejowego procesu, który nosi nazwę historii świata, kusili się niejednokrotnie męzowie nauki i mistrzowie pióra. Ale ścisłym naukowcom brakło często płynności narracji, umiejętności, a może i chęci skonkretyzowania wyników myślowych w formie łatwej, dostępnej dla szerszych warstw czytelników. Ujęcia literackie chronały pod względem podbudowy naukowej i może nie zadowalającej całkowicie czytelników. Wielką trudność nastęrczało także odpowiednie, prawdziwe obiektywne podejście do tematu, wywołanie się spod nastawienia wpływającego z narodowej przynależności autora lub jego ideologii. Trudność ta doznała może większego nasilenia w dobie obecnej.

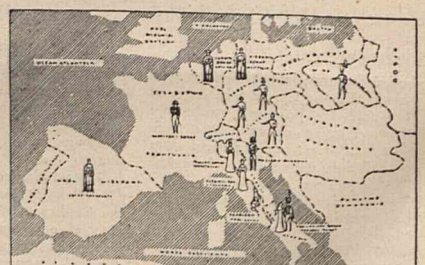
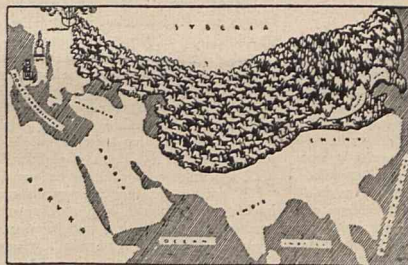
Z tych mnogich trudności obronną ręką wyszedł autor *Godzin wieków*, austriacki historyk sztuki o ustalonej poważnej marce w gronie fachowców — i temu książka ta, tłumaczona na wszystkie prawie europejskie języki, zawdzięcza swe powodzenie w najrozmaitszych środowiskach. W jednym tomie ujął autor dzieje całego świata w najogólniejszym syntetycznym zarysie, który wbija się w pamięć czytelnika. Z natury rzeczy pominąć musiał szczegóły, których nagromadzenie mogłoby spowodować zaciemnienie obrazu. Autor uwypuklił tylko rzeczy najważniejsze, rzucane w formie zagadnień przedstawionych w sposób przejrzysty w kilkustronowych artykułach, wprowadzając formę pytań i odpowiedzi dostosowaną do wymogów młodych czytelników (bo dla młodzieży przede wszystkim napisał Gombrich swe dzieło). Dla zainteresowania młodzieży wprowadził korowód faktów, ludzi i ich czynów na przestrzeni kilkudziesięciu wieków, przy czym operuje pojęciami znanymi, utrwalając z wielką zręcznością ich genezę (np. Pyrrusowe zwycięstwo, wrocznia pytyjska itp.). Z zajmująca osnowa opowiadania idzie w parze niezwykła umiejętność stylizacji, zachowana w polskim tłumaczeniu Zofii Rudzikiej.

Autor podkreśla, że dla niego historia jest przede wszystkim historią kultury, kładzie też specjalny nacisk na przemiany kulturalne i z nich wywodzi zmiany polityczne. Szczególnie wyraźnie objawia się ta

tendencja w syntetycznych ujęciach poszczególnych epok historycznych, np. średniowiecza i renesansu. Wielką pomoc w zobrazowaniu wydarzeń stanowią rysunki, pomyslane bardzo interesująco; z niewyłąkłą ekspresją ilustrują one dany fragment dziejowy. Znacomie mapy kinetyczne przedstawiają graficznie pewne problemy. Mapy takie są specjalnie stosowane w Anglii i w Niemczech. Głównym celem ich jest nie tyle dokładne wyznaczenie terenu, ile raczej przedstawienie danego problemu w rozmaitych stadiach, zobrazowanie jego ewolucji. Odpowiednia mapa ilustruje np. plastycznie zasięg zwycięstwa mongolskiego, lub też potęgę „małego Korsykianna”; odpowiedni wykres nie tylko odzwierciedla ekspansję napoleońską, ale podkreśla równocześnie zawarty w niej moment osobisty i dążenia dynastyczne itd.

Niezaprzeczonym brakiem książki Gombricha, zwłaszcza gdy w przekładzie ma się ona stać historyczną lekturą uzupełniającą młodzieży polskiej, jest stanowczo niedostateczne uwzględnienie dziejów Polski. Jednakowoż krytyka (np. *Prosto z Mostu*) zbyt pochopnie potępia całość tej niewątpliwie wartościowej i pięknej pracy. Wprawdzie argument, którym usprawiedliwia się sam autor w przedmowie do polskich czytelników (nieznajomość języka), istotnie nie jest przekonujący, ale też jest on przeznaczony dla młodzieży i jako taki powinien być rozumiany. Wobec ogromnej rozpiętości tematu stosunkowo niewielkiej książki nie tylko sprawy polskie nie mogą być należycie przedstawione — autor pomija też całe okresy dziejów innych narodów. Mimo tych wad, walory *Godziny wieków* zalecają je jednak jako wysoce instruktyną i interesującą lekturę. Ewentualne dodatki, które można było zasadniczo umieścić w polskim wydaniu, zapelniając w ten sposób lukę, musiałyby zniekształcić książkę w jej kompozycji i walorach literackich. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych przygotowuje w najbliższym czasie syntetyczne, a zarazem literackie opracowanie dziejów Polski; w ten sposób *Godziny wieków* zyskują uzupełnienie, a młodzi czytelnicy polscy otrzymają pełny obraz dziejów.

ZOFIA KRZEMICKA



Mapy kinetyczne z książki Ernsta Gombricha pt. „Godziny wieków”

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisy nadesłanych nie zwraca się. Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm, szerokości 1 spłaty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Roman Kolonicki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński